

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 3 listopada 1917 roku.

Nr 44.

G. DANIŁOWSKI.

Zamach na Skalkona.

3

Plan ich, powzięty na własną rękę, był bardzo prosty: Nauczyć się celnie strzelać, wślizgnąć się nocą do pałacowego parku, ukryć się w kłombie, zaskoczyć Skalkona na samotnej przechadzce i zbudzić widma podchorążych belwederskim wystrzałem. Ze strony partji dziewczęta nie spodziewały się współudziału. Tymczasem wypadło im przewozić dynamit do prowincjonalnych miast.

Gdy Harna z wyprawy wróciła, zastała ręką Lzy wtajemniczonej w ich zamiary skreślone słowa:

Ma się stać to, czego pragniecie, wstąpcie do mnie...

Zrozumiałwszy list, Harna doznała dziwnego wrażenia, splecionego smutku z radością. Jednocześnie podniosły się z labiryntów pamięci roje wspomnień o domu, a za ich wątle-mi obłokami zapiecił się gwałtownie żywy strumień wzbierającego czynu w fantastycznym korycie dumnych nienazwanych marzeń; wyżynami nieba pociągnęły jakieś rozwiewne wieści z nikąd o pięknie rzeczy, które się dzieją, staną i przekażą się jutru i dniom następny i zamigoczą raz jeszcze w słonecznej tarczy finalnego zwycięstwa.

Lekkim, tanecznym krokiem szła Harna na wskazane miejsce. Tu właśnie zgłaszano kandydaturę do planowanego przez bojówkę zamachu.

Złożywszy swoją, Harna dowiedziała się, że jest już oferta Mary, że ochotników jest mnóstwo, ale ich szanse są bardzo dobre.

Jakoż wkrótce uszczęśliwione

dziewczyny dowiedziały się, że wybór padł na nie.

Ale los skosił różę upojenia; Marze, jako mocno zaszpiclowanej, kazano się nie tylko usunąć z roboty, ale i z miasta, i Harna musiała się rozstać z istotą, z którą projekt jednomyślnie powzięty skuli ją mocno i serdecznie.

Z godziną jej wyjazdu, w sercu Harny zgasł nagle promień entuzjizmu, zapanowała w niej jakby raptowna noc, ale w tej ciemności wyczuwała dokładnie nutę dokonania rzeczy, która miała być ich wspólnym dziełem, i mętne pragnienie, by na opuszczone przez towarzyszkę miejsce nie wstawiano jej nikogo. Chwilowo to zaćmienie trwało niedługo; zetknięcie się z Brunonem, którego przedtem nie знаła, rozwidniło jej duszę, jak snop jasnego słońca.

Oczekując na Brunona, Harna wyobrażała sobie, że ujrzy jakiegoś wielkiego fizycznie człowieka, o surowej jak głaz twarzy, ołowianem spojrzeniu, władczych ruchach, rozkazującym głose i kulila się wewnętrznie w obawie, że ten ostry człowiek niewątpliwie ją szorstkością zniechęci, w każdy magniotek urazi.

To też, gdy wszedł, ogarnęło ją zdumione zakłopotanie i rodzaj skruchy.

Przytrzymując w ciepłym, miękkim uścisku jej dłoń, z pociągającym uśmiechem stał przed nią sympatycznej powierzchowności mężczyzna, szpakowaty już, o wyrazistej, dobrej, jakby nieco znużonej od pracowitej myśli twarzy mędrca.

Popatrzył.

Uderzyła ją i zachwyciła odrazu przejrzysta siła jego oczu, które zdawały się ogarniać wszystko, nawskroś przenikać, dostrzegać każdy ruch rzeczy, ujmować w locie najsubtelniejsze vibracje cudzych uczuć i wrażeń.

Wyście, Harno — mówił głosem stłumionym, zaciszynym, jakby stworzonym do wypowiadania tylko słów ważnych, tajemnic sekretnych — podobno chcecie pójść na to.

— Chcę, odparła Harna, zastaniając się rzesami od badawczego ostrza jego spojrzeń.

Brunon przysunął się z krzesłem i jakby ze smutkiem i hamowanym wzruszeniem jął jej przekładać, że idzie na pewną śmierć, że więcej życia leży przed nią, niż za nią, że po Skalkonie będzie inny Skalkon, że ten zamach sprawy wcale nie rozstrzyga, rewolucyjną falę na mgnienie podnosi, ale o ile i jak na długo — kto zgadnie?

Jednym słowem, wbrew przewidywaniu, nie podlegał, nie namawiał jej wcale, a raczej przeciwnie, jakby przestrzegał, przedstawiając rzecz całą z najmniej dodatniej strony.

I dopiero, gdy Harna z zupełnym spokojem i surową powagą oświadczyła, że jest to sprawa zdeterminowana i rozstrzygnięta w niej samej ostatecznie, Brunon jednym zamachem odsłonił jej całą świetność i doniosłość czynu.

— Pamiętam — powiada Harna — te jego słowa, może jedyne, takie już nigdy potem niesłyszane, słowa więcej piękna ujawniające, niż go oczy objąć mogły.

Wszystko, wszystko, co przyszło później, było już tylko błędem powtórzeniem rzeczy dnia tego przeżytych.

Realnie Harna mało jeszcze wiedziała, co ma robić. Stroną organizacyjną zajmowała ją niewiele, niejako tylko z miaru.

Z pierwszej tej schadzki z Brunonem wyniosła jedynie dobitne poczucie, że ma się stać symbolem protestu przeciw obeldze niewoli i tyranii, gwałtownym streszczeniem uczuć najszerzych warstw narodu, zbiornikiem jego woli, głosu jego namiętnym wyrazem.

Dnia tego cały wieczór błądziła po alejach łazienkowskiego parku, śniąc o wielkim dniu, który nadchodzi, o wysokości lotu, o potędze i pięknie czynu.

Wkrótce przeniosła się na Natolińską, gdzie się poznała z Joasią i Laleczką.

Dziewczęta szybko przyłgnęły do siebie.

Joasia pociągała dziwnie pogodną prostotą i tak otwartą szczerością, że prawie niespotykaną. Miała serdeczną twarz i dobre, jasne oczy. Życia, które oddawała dla sprawy, było jej czasem żal, nie to, żeby bardzo, ale trochę, odrobineczkę. Mówiła o tem zresztą rzadko, mimochodem, jako o rzeczy małej wagi. Poza tem była niezwykle wesoła, nie ustępująca pod tym względem Laleczce.

Ostatnia była urodzoną optymistką i kokietką, z główką piękną i dość ambitną. Wierzyła niezłomnie, że wszystko wypadnie jak najlepiej, że wyjdą ze sprawy zwycięsko jako tryumfatorki, ozdobione wawrzynem.

Obie dziewczęta zachwyciły się paradnem mieszkaniem, które im się wydawało pałacem po ciasnych izdebkach, starały się pokoje możliwie upiększyć, krzątając się po lokalu, jakby miały w nim na wieki pozostać. Cieszyły je eleganckie mebelki, na których siadały z widoczną satysfakcją.

W widnych jasnych pokojach z podwójną siłą rozkwitało ich młode życie, każąc zapomnieć o przyczajonej śmierci.

Bawiły się szczerze zalecankami kawalerów z przeciwka, którym wesołe bałamutki na dobre zawróciły głowę.

Szczególnie uzdolnioną była pod tym względem Laleczka, która chrupiąc cukier, lubiła balansować przed oknem, strzelając od niechcenia zalotnem spojrzeniem w stronę lornetujących aspirantów.

Parskały psotnym śmiechem, na myśl o tem, jak się ze strachu będą trząść ci szykowni faceci, gdy się wykryje, do kogo się umizgali, z kim prowadzili konszachty.

Harna trochę się tym flirtem gorczyła, wyczuwając przytem, że między nią a towarzyszkami istnieją pewne różnice.

Ona na życie, na własne sprawy patrzyła niejako przez pryzmat kursujących w jej sferze poglądów, uczuciowych i myślowych nałogów przeszłości, a często przez kartki literatury. Laleczka zaś i Joasia zdrowymi jasnymi oczyma; Ładny chłopiec był dla nich ładnym chłopcem, miłość gorącym, słodkim bez grzechu napojem — zglądzenie Skałona — nietyle aktem romantycznym i wzniosłym, ile sprawiedliwą pomstą i karą za wszystko, co uczynił. Ujawniło się to szczególnie w krwawą środę — dzień dla spiskowczyń tragiczny.

Strzały rozlegające się po mieście wstrząsały każdą od stóp do głowy, jak wybuch miny... Czasem gęstość salw wzniecała przypuszczenie, że bitwa wre na ulicach Warszawy i wahały się, czy nie wyjść z pociskami, by rzucić się w szal walki.

Gdy wieczorem trochę ucichło i dowiedziały się, co zaszło, zaczęło niepokoić je widmo rewizji. Każdy żywszy ruch w bramie, łoskot na schodach, wzniecał trwogę, wzmagając bicie serca. Kiedy zaś w pobliżu znów zatrząsały karabiny, wiedziały już, co to znaczy...

— Strzelają psubraty! — odezwiała się Laleczka i twarz jej przybrała niepowszednio poważny wyraz, śliczne rysy stężały, powlekając się czemś groźnym i surowym. Joasia się podniosła i w grzechocie długiej salwy jakby wyrosła w oczach i zeszywniała ze zgrozy, ręką wskazując na kominiek, i z dzikim akcentem szepnęła: — Tu leży dla nich zapłata! — Okragłe, srogie łzy stanęły w jej oczach — zawzięta twarz sposepniała tak strasznie, że Harna wzdrygnęło się rozbolełe serce.

Następny dzień przeszedł im jakoś sennie; były znużone nocnem czuwaniem, stargane wrażeniami.

Brunon je stale odwiedzał i zamęczał poprostu drobiazgowością, szczegółów i wskazówek, formalnemi egzaminami, czy pamiętają o wszystkim, czy nie zaniedbały czegokolwiek w sprawie zamachu i swego odwrotu. Rewidował starannie mieszkanie, usuwał z drogi każdy sprzęt, mogący choć na mgnienie oka opóźnić wyjście, które miało nastąpić przez kuchenne schody, jako bliższe bramy. Naradzał się ze wszystkimi, potem z każdą oddzielnie, i wreszcie żegnał je jednym ze swych najlepszych czułych spojrzeń, za jakie przebaczały mu odrazu te nużące spytki, których doniosłość miały zrozumieć dopiero w chwili krytycznej.

Dokończenie nastąpi.

Z dziedziny projektów.

Estetykum.

Powstała u nas myśl oryginalna. Należy ją powitać, choćby tylko lekkim ukłonem, aby nowość i oryginalność nie osadziły, że wśród nas są — u obcych. P. Krystall wydał niewielką pracę o „Zagadnieniach oświaty akademickiej” i poruszywszy w niej sprawę wydziału nauk wojskowych i fakultetu teologicznego, poddaje, po bieżnemu zresztą, przeglądowi kwestję z artystyczną kulturą naszą związaną. I w końcu, na ostatniej kartce broszurki, rzuca ideę założenia „Estetykum”.

Mam wrażenie, iż w tem słowie, które klasycyzm syntetyzuje z barbarzyństwem, rzucona została szczególnieśliwie formuła uczelni, jaką niezawodnie obdarzy nas przyszłość. Jeżeli w drugiej połowie ubiegłego stulecia wyrobiła się i rozpowszechniła politechnika, jako uczelnia wyższa, gro-

madząca we wspólnej instytucji wychowawczej wszystkie główne rodzaje techniki, to można oczekiwać, że wiek obecny w podobny sposób scentralizuje różne szkoły i akademie artystyczne, aby wytworzyć *poliartystykę* lub, jak p. Krystall projektuje, według niemieckiego obyczaju: *Estetykum*.

Oto jak sobie wyobraża autor wydziały takiej uczelni: Estetyczny, Architektoniczny, Plastyczny, Muzyczny, Literacki i Ogólno-ornamentacyjny.

Te wydziały mają iotrzymać swoją własną autonomię każdy, jak na uniwersytecie.

Szkic powyższy nie jest jeszcze projektem. Jest dopiero tak zwana „idea”. W szeregu wydziałów brakuje, co się odrazu rzuca w oczy, wydziału dramatycznego. Ogólno-orna-

mentacyjny doskonale da się nazwać prosto Dekoracyjnym. Ze słów zbyt skąpych autora trudno się domyśleć, czy szkoły artystyczne, jak malarską, muzyczną, śpiewacką, dramatyczną, włącza on do swojego Estetykum, czy też pozostawia je na uboczu, na własnych leżach, i jak w tym drugim razie, określa stosunki Estetykum do tych uczelni.

Skłapiąc wszelkich rozwinąć w tym kierunku, autor jednak za motyw, mający poprzeć swój projekt, podaje zbyt idealną i zapewne wprost chimeryczną na terenie wszelkiej wyższej uczelni, „jedność nauczania” i już wprost chimerycznym dążeniem ją dubluje „jedności idealnej, do której sztuka zawsze dążyć powinna”. Autor mniema, że „taką jedność w systemie nauki i poznania reprezentuje estetyka”. Otóż, pomijając już to, że i na tym terenie różne idee pluralistyczne tak samo są usprawiedliwione, jak i na terenie metafizyki, i zresztą fizyki — nie jest to oddać projektowanemu dziełu nowemu dobrą usługę, gdy go się wnosi w otoczenie, tak z powietrza praktykę wyjąłowione.

Spróbujemy go sprowadzić na grunty bardziej realne.

*

Jest to niezawodnym, iż kultura artystyczna w Polsce wogóle, a w Warszawie w szczególności mocno jest zaniedbana. Trzeci rok już rozpoczyna wkrótce polski uniwersytet, a jeszcze niema mowy o tem, aby postawić na nim katedrę Historii Sztuki. Tem mniej Estetyki. Wprawdzie, jeden z profesorów filozofii, p. Tatarkiewicz, posiada w tym kierunku poważne przygotowanie, ale, jak się zdaje, ciągną go obecnie głównie etyczne problemy.

Nie można jednakże powiedzieć, aby nie było w naszym mieście wcale żadnej katedry, z której by nie padało słowo o pięknie. W politechnice p. Skórewicz wyklada Architektury Polską, a p. Dziekoński Historię architektury średniowiecznej. W Wolnej Wszechnicy Polskiej p. Niewiadomski mówi o Sztuce Nowożytnej (od odrodzenia poczynając), p. Trojanowski o Historii sztuki starożytnej i średniowiecznej i Historii sztuki europejskiej w 19 i 20 wiekach. P. Rozenzweig wyklada tam Historię Muzyki. Istnieje nawet w tej uczelni wykład Estetyki (p. Segala), z psychologicznego stanowiska traktowanej. P. Radecki z tego samego stanowiska mówi w tym roku o Twórczości, a p. Rozenzweig o Estetyce i Akustyce muzycznej. Do tego by mo-

żna dołączyć wykłady profesorów Chlebowskiego, Matuszewskiego, Woycieckiego, Gallego o literaturze i Krzywickiego, Szerękowski o kulturze. Są to wszystko wykłady publiczne. W szkole Dramatycznej jest również parę katedr, z których pada słowo umiejętne na obszar estetyczny. Są te wykłady jednak zarezerwowane dla słuchaczy jednej szkoły. Jeżeli dalej weźmiemy pod uwagę, że mamy jeszcze szkoły artystyczne o zakresie praktycznym, mające za zadanie wyrobić wirtuo-zów, więc Szkołę Sztuk Pięknych i Konserwatorium Muzyczne, wypadłoby nam, że już obecnie są pewne elementy na założenie jakiejś centralnej wychowawczej instytucji o wyższym poziomie studjów, Estetykum.

Byłoby przedwczesną rzeczą zastanawiać się obecnie, kiedy jeszcze żadnego określonego planu takiej instytucji niema, a dopiero jej idea zamajaczyła w świecie kształtów, jaki byłby stosunek uczelni o praktycznym charakterze, jak Konserwatorium, Szkoła Sztuk Pięknych, Szkoła Dramatyczna, do Estetykum, które by hodowało przede wszystkim historję i teorię i za przedmiot swój miałoby nie bezpośrednie wzmożenie twórczości, ale badanie wytworów gotowych już twórczości. Byłaby to instytucja, jak p. Krystall w tytule swoje pracy mówi, „akademicka”. Posiadałaby ona w każdym razie, nawet i tak ograniczona, nawet oddzielona od samych szkół, własny swój przedmiot, pozytywnie określony; i nawet przedmiot bardzo bogaty, rozległy, o wielce różnorodnej treści. Estetykum nie mniej okazałoby zapewne się przedstawiało od Politechnikum. A wystarczyłoby, w ten czy inny sposób, zcentralizować nasze siły i środki, już czynne na tem polu, aby zaraz rzuciły się w oczy główne braki w całości Estetykum, aby przemówiły swą wymogą te katedry, które staną na razie puste.

Zobaczylibyśmy zaraz, że inteligentnemu a spragnionemu wiedzy i lubiącemu się kształcić ogółowi stolicy brakuje katedr Estetyki filozoficznej i wreszcie, a nawet głównie: Estetyki prosto estetycznej.

*

Zcentralizowanie w jakowej Estetykum katedr już w dziale sztuk pięknych istniejących, — choćby w ten sposób, że jedne z nich stałyby się dostępne i dla tych, przed którymi są, w swoich gmachach, zamknięte, jak w Politechnice, a wyniesienie

może innych ze swoich zamkniętych lokalów do gmachu publicznego, jak ze Szkoły Dramatycznej, stworzyłoby niezawodnie coś w rodzaju własnej atmosfery wyższej uczelni. Odbyłoby się tu, jak to bywa często w podobnych razach, nie proste, mechaniczne dodawanie jednostek, ale pewne ich mnożenie przez siebie, pewne potęgowanie, które sprawia, iż rezultat socjalnej składanej instytucji jest czemś znacznie większem od sumy ich części.

Wydaje się oczywiście i nie napraszającem się o dowód, iż podobne Estetykum podniosłoby niezawodnie poziom kultury artystycznej w narodzie. Naprostowałoby gusty, a wraz z niem i dusze. Przełożyłoby drogi do własnego, narodowego przemysłu artystycznego, do polskiego stylu dekoracyjnego, za czem wszyscy tęsknimy, a czego urzeczywistnić dotychczas w żadnej mierze, pomimo niezawodnych zdolności polskiego rzemieślnika, nie umiemy.

Brak jest bowiem w społeczeństwie uświadczenia artystycznego.

Brak jest jeszcze w dodatku i pogłębienia naukowego u tych, którzy przewodniczą estetycznemu wykształceniu. Większość tych, co uczą o sztuce, są to nauczyciele dopiero, nie profesorzy. Przetrawili oni niezawodnie cudze, nie stworzyli jeszcze własnego. Przyczynienie się nasze do skarbu wiedzy artystycznej ludzkości jest jeszcze ubogiem.

Estetykum podnieciłoby ambicje. Zagrzałoby do pracy. Wytworzyłoby szlachetne emulacje. Powstałaby nauka polska o sztuce. Nauka, której poważne już zawiązki stworzył Kraków. A któremu Warszawa, przy lekkiej pomocy, jakaby otrzymała ze strony zorganizowanego Estetykum, mogłaby bez trudu dorównać.

*

Nie wiemy, kto i kiedy podejmie, choćby do rzetelniejszej dyskusji, rzucone tu myśli. Prasę naszą charakteryzuje dziwna bezwładność na tym punkcie. Bojąc się polemiki, jak ognia, wciska się ona w lodowcowe strefy. Cudzych idei nie podejmuje. Nie spostrzegając, że to pozbawia ją i możności do rozrabiania własnych. Idea p. Krystalla, być więc może, przejdzie do archiwów życia polskiego. Ale jest to świeża i żywotna idea, odpowiadająca potrzebom naszego czasu. Tryśnie ona więc niezawodnie, jak źródło z pod piasków. I narzuci się ludzdom, — jako kulturalną konieczność.

Wincenty Kosiakiewicz.

KARYERY.

52

Upojony czarem teraźniejszości — nie chciał myśleć o jutrze — rozkoszując się miłością, którą obdarzała go z przyzwyczajenia z całym zasobem kunsztu nie żony, lecz metresy.

Bo tylko wśród dnia pozwalała sobie na wygodny szary dezabil żony. W małżeńskiej lustrzanej sypialni, fantastycznie z lekka zaróżowionej pół światłem, w powodzi piany koronek, jakich nie posiadają żadne królowe, a jedynie wielkie kokoty — przyprowadzała Horskiego do szalu wypróbowanym już przez nią, jakimś dziwnie podniecającym odorem perfum, o zapachu nieistniejących kwiatów, wśród których nurzał się oczadzony, wciągając w pijane nozdrza sztucznie woniejące róże jej ust, jaśmin jej włosów, tuberozy całego jej ciała.

Nienasycony arcydziełem jej wykwintnie harmonijnych kształtów, począwszy od brwi i rzęsów olówkiem podkreślonych, skończywszy na uróżowanych paznogietskach jej cudnie narysowanych nóg — tonął w tej całej mise en scène, zapożyczanej z erotycznych podręczników miłosnej galanterji i z nauk najkompetentniejszych lowelasów w Europie.

A poza zmysłami — w jego naturze bądź co bądź prawej i etycznej zawodową i ideową pracą uszlachetnioną — nie wygasł całkowicie młodzieńczy sentymentalizm — w którego oświeceniu obecna postać Ireny łączyła się zawsze z tą młodą czystą pamięcią z Jędrzejewic.

Ta cudnej urody dziewczę, którą woził łódką, jako student, po zarosłym nenufarami stawie i której — w obliczu księżyca tuż przy tarasie, pod starą lipą skradł z niepokalanych ust pierwszego całusa — to była kobieta, przeznaczona mu przez Boga, połączona z nim do grobu jedyną w życiu prawdziwą miłością.

Jeżeli bolały go jej wciąż wzrastające całodziennie kaprysy, „nerwy“ i to całe obejście, pełne wyniosłości i pogardy, które nawet poza miłosnymi nocami — mogły świadczyć o jej zobojętności — pocieszał się myślą, że jednak dała mu niezbity dowód miłości, wychodząc za niego. Z pośród wszystkich wybrała go, choć nie była już wtedy w latach szalejącej nieopatrznie pensjonarki.

Wniosła mu w ofierze nie tylko królewską urodę i duży majątek, lecz poświęciła dla niego mitrę, stosunki i życie wielkoświatowe, ten cały czczy blask wykwintu, stanowiący tak doskonałą oprawę dla piękna kobiety.

Po szalach miodowych miesięcy, kiedy sam na sam poczęło już im trochę ciężyc — pojęły — iż należało urządzić jakąś normę, regime życia, czyli modus vivendi. A ponieważ ogólnie przyjętą zasadą jest, iż należy żyć z ludźmi — pomyśleli o otworzeniu salonów i przyjmowaniu gości.

Poczęły składać wizyty — z postanowieniem życia intymnego, ściśle w kole rodziny i kolegów męża.

Lecz z rodziny należało skwitować skutek jej powinowactwa ze zmarłą Zosią. Rodzina bowiem z Polewskim na czele — czyniła Irenę odpowiedzialną za całą tę tragedję małżeńską Horskiego z pierwszą żoną.

I Irena odczuła z miejsca po pierwszej wizycie, iż będzie w tych kołach na indeksie.

Wobec stanowczego zerwania z „wielkim światem“, pozostały jej więc jedynie — żony kolegów męża.

Irena pocieszała się teraz myślą Cezara, iż lepiej być pierwszym w małej wiosce, niż drugim w stolicy.

Lecz wioski, bardzo często trudniejsze do zdobycia od stolic — okazywały się bardzo republikańskimi; szczególnie kobiety zaprotestowały przeciwko królowej, silnie zagrożonej w otoczeniu, pozbawionem w zupełności ślepego kultu.

Wiadomo, iż analiza wyszukująca plamy — zabija uczucie. Panie doktorowe zadecydowały, że ta ex wielka dama posiada wykształcenie bardzo powierzchowne, że jej dowcip i opinja w każdej kwestji są banalne, płytkie i konwencjonalne.

Wprawdzie pisze po francusku bardzo dobrze (zdaje się, że jest to sine qua non do małżeństwa do „wielkiego świata“), lecz polskie jej listy raziły błędami.

Stanowczo nie chciały być frajlinami jej dworu; nie godziły się na jej dworską grzeczność i na udaną skromność przepysznego jej stroju. Kwitowały z jej nudnych przyjęć z maskowanym wykwinem potraw, kwiatów, światła i służby.

A najzłośliwsza z nich twierdziła:

— Godziłabym się bywać albo u prawdziwej kokoty, albo u prawdziwej wielkiej damy.

Pani Irena czuła się towarzysko wykolejoną. Na domiar złego i platonicznej starzy jej przyjaciele od pewnego czasu ją bojkutowali.

Godzili się wyłącznie na platonizm obustronny. Lecz miłość jej do Horskiego stanowczo zaszkodziła w ich opinji jeszcze przed jej niefortunem zamażpójściem.

Oziębłe uliczne ukłony tych (niezachęconych jej cudnymi obliczającymi uśmiechami) habitués de la maison — zdawały się rzucać jej najwyraźniej:

— Przedewszystkiem przestań kochać się we własnym swoim mężu, a potem zobaczymy!

Irena nudziła się.

I ta nuda, matująca blask jej oczu, żółcąca jej cerę, odbierająca elastyczność jej postawie — przerażała ją, jak groźny wampir, czyhający na jej młodość. Zaczęła bać się despotycznych szeptów tego wroga. O! знаła jego potęgę. Przedewszystkiem obdziera on z różowych obłotek wszystkie nasze pragnienia; następnie zożydza ideały i dążenia, wolę i energję... Aż wreszcie, ubezwładniwszy szamoczącego się ostatnimi podrygami — odchodzi... A za nim powolnym krokiem zbliża się apatja, rezygnacja, starość...

Irena wstrząsnęła się z ohydry.

— Nie, nie! Raczej natychmiastowa śmierć, niż starość!

— Nie, nie! Tak źle ze mną jeszcze nie jest. Na brak werwy nie mogę jeszcze uskarżać się; ani na pogodzenie się z losem, ani na spokój.

Faktycznie od rana do nocy była bezustannie podniecona. Nie mówiąc już o biednym Horskim, lecz cała służba męża Tantała z nią znosiła.

Była ciągle złą, choć, nie darła trybem bohaterki dawnych powieści koronkowych chusteczek, których obecnie w ręku się już nie trzyma.

Była złą — głównie ponieważ czyniła odpowiedzialną za swój los — jedynie samą siebie.

— Nie byłam już wtedy pensjonarką, którą powinny strzedz nauczycielki. A i pensjonarki są mędrze odemnie, ponieważ wybierają sobie studentów. Zresztą każda sielanek — to epizod; lecz to nie całe życie.

— Tak, tak — doszła do przekonania w trakcie, kiedy ją kapano, czesano, manicurowano — to małżeństwo było tylko epizodem. Trzeba rozpocząć życie na nowo.

Ale z kim, jak, gdzie? Życ — znaczyło podług niej — używać.

Uśmiechnęła się do tego wyrazu z jakąś furją przeczucia, że piękność jej może minąć i wszystko będzie bezpowrotnie stracone.

Zaczęła badać swoją przeszłość: Nie, nie! To wszystko nie było wcale rozkoszą używania! Myślała wszak ciągle jedynie o karierze!

W młodych latach za granicą sprzedawała się każdemu ze wstętem, aby zdobyć chleb; potem dla stanowiska ulegała dyrektorom; a potem dla sławy i okłasków, dla brylantów — redaktorom, krytykom, bankierom!

Następnie książęce salony z mężem starcem i przyjaciół królowych!

Dopiero teraz w nagrodę — ta nędzna sielanka po tylu latach z tym odgrzanym młodzieńczym ideałem, ze starzejącym się filistrem w mieszczańskim ciepłym rodzinnym! Karykatury!

W tej wiecznej komedii życia — przywdziewała — odpowiednie do tych wszystkich ról — style. Z talentem urodzonej aktorki przemieniała się kolejno z kokoty w gwiazdę; to znów z wielkiej damy w cnotliwą mężateczkę! Ha, ha, ha!

Ależ ona stanowczo stała się w ostatnich latach nudną ze swoim konwencjonalnym uśmiechem, ściśniętą tą wieczną manierą, zastosowaną do sytuacji!

— E basta! — krzyknęła z niezwykłą brutalnością, płosząc tym okrzykiem masażystkę, zajętą manicurą jej paznokci. I w koronkowym saut du lit zmierzała szerokim krokiem po puszystym dywanie swego cabinet de toilette.

— Nareszcie przed śmiercią chcę żyć, żyć, żyć; dla siebie, wolna, jak ptak, bez żadnych klatek, bez konwenansów, bez cugli opinii, bez obłądy pozorów udawania. — żyć — jedynie, aby być szczęśliwą! Chcę szczęścia bez miary, bez zastrzeżeń, aż do zatonięcia w niem! Bo człowiek został przecież stworzonym dla szczęścia. Czyż nie? Bo w jakimże innym celu? Ma więc prawo być szczęśliwym. Czyli bezprawiem i grzechem jest trzymająca nas w wiecznej uwięzi etyka i cnota, nakazująca pozbawiać się szczęścia wbrew naturze, wbrew woli Boga!

— Byłam całe życie zbyt sprytną; teraz póki jestem jeszcze piękną — chcę szaleć. Co znaczy — nie odmawiać sobie tego, na co mi przyjdzie ochota. Voilà. Chcę miłości, pieśni, szampana! Chcę gwizdać na te, które mnie palcem wytykać będą, a w duszy zazdrościć. O! Mam już po

szyć tej piły życia, reprezentacji, specjalnej do wzbudzenia, zawiści szanownej publiczności!

Zwróciła się do wchodzącego Horskiego:

— Wiesz, złożyła mi dziś wizytę baronowa Gizela Rejmanowa. Musisz w przyszłym tygodniu znaleźć wolną chwilę czasu, abyśmy ją razem rewizytowali.

— Skąd znasz tę damę?

— Poznałyśmy się u Hersego. Bardzo miła, ładna, dobrze wychowana.

— Czy zamierzasz u niej być?

— U niej bywają wszyscy: Muzycy, malarze, artyści, klubowcy, adwokaci. Towarzystwo bardzo odpowiednie dla doktorowej Horskiej.

Horski spiął raka i zacisnął wargi, aby jej nie rzucić:

— Dla doktorowej Horskiej nie bardzo odpowiednie; raczej dla signoriny Ireni. I wnet zatarł swój rumieniec uległą decyzją pantofla:

— Jak uważasz, moje dziecko. Lecz zwracam ci uwagę, że to nie jest dom, którym by można bardzo się chlubić.

— O! Mój drogi! Bywałam już w tylu domach, które można było się chlubić, że chciałabym nareszcie znaleźć dom, w którym by nie było nudno.

— Jesteś, jak Cezar — odciał się mimowolą niezbyt zręcznie — wolisz być pierwszą w małym miasteczku, niż drugą w stoicy.

— Mówiłam ci już, że nie szukam ani miasta, ani wsi; a jedynie krainy szczęścia.

— I tą krainą ma być salon baronowej Gizeli Rejmanowej?

— Ha! Zobaczę!

XXV.

Baronowa Gizela z Hochmündów (przerabiano to nazwisko na Hautmonde'ów). Rejmanowa pochodziła ze starej oddawna wychrzczonej semickiej rodziny, legitymującej się już z kilku pokoleń milionerów, skoliigaconych z konsułami, baronami, a nawet z hrabiami.

Matka baronowej Gizeli była z domu (podupadła — rzecz prosta) hrabianką Norską. Baronowa Gizela należała więc już od urodzenia do „towarzystwa“, zrównana z niem wykwintem swej francuszczyzny, tualetem, ilością służby i stopą prowadzenia domu, który — niestety zrujnował majątek jej rodziców, przemienionych z dorobkiewiczów, plutokratów w podupadłą arystokrację.

I piękna, filigranowa, drobna panna Gizela (niepotrzebnie psuła sobie swój typ brunety o wielkich egipskich oczach, o papuzim kształtnym nosku i o czarnym meszku na wierzchniej wardze — złotem utlenionych włosów) — musiała oddać wbrew marzeniom rodziców swoją rączkę już nie zbiedzonemu księciu, lecz najświeższego stempla łódzkiemu parwenjuszowi, oszołomionemu szczęściem posiadania bezposażnej wprawdzie, lecz pięknej żony, w której płynęła po kądzieli błękitna krew hrabiów Norskich. Lecz głównie nęcił go ideał należenia do „towarzystwa“.

Pani Gizeli udało się faktycznie wprowadzić męża, który paradował swoim świeżo zakupionem zagranicą, a bezprawnie używanem w kraju baronowstwem, do wszystkich salonów warszawskich, a nawet do klubu.

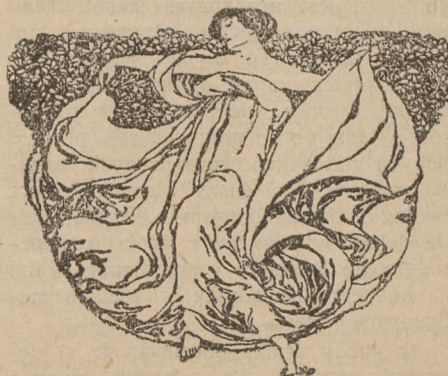
Pan baron Rejman, jako t. zw. fok, czyli gruba ryba, opłacał ten zaszczyt, bardzo strawnie polykając przy pokierze zapuszczane każdego wieczoru w klubie wędki na jego złoto.

Aby utrwalić swoje towarzyskie stanowisko w high-life, poza salonem żony — przyjmował jeszcze żadnych swobodniejszej zabawy — u swojej metresy, sławnej gwiazdy, panny Blanchard, Francuzki, którą teatr warszawski pozyskał był niedawno na stanowisko prima-balleriny. Poza tem pan Rejman trzymał jeszcze i stajnię wyścigową i zwalczał nagrody na konkursach samochodowych.

W tej świeżej roli clubmana, viveur'a, trochę się podług wyrażenia teatralnego „zgrywał“ i byłby niezawodnie grubo madszarpany majątek niebawem utracił — gdyby z wyroku losu rażony apopleksją w objęciach panny Blanchard nieoczekiwanie ducha nie wyzionął.

Pani Gizela została młodą 30 letnią, bezdzietną wdówką z zapisem olbrzymiego dożywocia, umieszczonego w ziemi, oraz na miejskich hipotekach, w fabrykach, w akcjach i przedsiębiorstwach.

Dalszy ciąg nastąpi.



CHARAKTERY.

Rufin, czyli, że trudno jest poznać samego siebie.

Rufin wie, że każda rzecz może być taka albo zupełnie inna — nawet wtedy, kiedy się już stała. I wiedza ta jest dla Rufina źródłem rozterki i goryczy.

Widząc zjawisko każde ze wszystkich stron, Rufin nie może ustalić swego stosunku do świata, co więcej — nie może ustalić własnego mniemania o sobie.

Niekiedy Rufin uczuwa, że pomimo zawodów doznanych zachował całą wewnętrzną równowagę, że jest przeto naturą pogodną i wobec życia afirmatywną. Wszelako nie minie dzień, a Rufin zniewolony jest sam sobie perswadować, że oto mu się powiedło, że ma żonę i dzieci zdrowe, którym zapewnił dostatek, że owszem imię jego i stanowisko obudza szacunek, że przeto powinien być szczęśliwy. A właśnie robak wątplenia, sceptycyzm głębszych natur nie daje mu w radości korzystać z owoców zasługi.

Są znów dni, kiedy wydaje się Rufinowi, że oto rozminął się z przeznaczeniem. Wybrana bowiem na towarzyszkę życia kobieta wyziębiła w nim idealizm wrodzony, obniżyła lot i pracy jego narzuciła kierunek praktyczny. Kiedy indziej przypomina sobie nagle drobne jakieś małżeńskie uchybienia. I widzi siebie jako wyrafinowanego rozpustnika, który nadużył zaufania tej uczuciowej, szlachetnej, czystej kobiety i jedynie dzięki obłudnemu zachowaniu pozorów nie zniszczył szczęścia rodzinnego. Dreczy się tedy wyrzutami sumienia, rozważa, jak zbawiennie wpłynęła żona słodyczą charakteru i rozsądną dobrocią na jego usposobienie; jest pewien, że tylko ona uchroniła go od pesymizmu, któremu ulegał w młodości, gdyż włożyła nań słodkie obowiązki ojcostwa, wskazała życiowe cele bezpośrednie — właśnie gdy zwątpił już był o celach humanitarnych i wszechludzkich.

Czasami wszystko, co osiągnął, wydaje się Rufinowi skromnym zaledwie dorobkiem. Porównywa siebie z innymi, którzy z niczego doszli do dostojęństw i zaszczytów — i w tym zestawieniu staje się kimś niepraktycznym, zbyt niezależnym, niezdolnym do kompromisów, nieprzystosowanym do życia. I widzi Rufin, że jest urodzonym samotnikiem, nie dbającym o blichtr fałszywy i tani poklask świata. To, co ma, jest mu nawet zawiele; marzy o zamieszkaniu w ubogim dworku wiejskim, krew przodków skłania go do pracy na roli, pragnie cichych zadowoleń wewnętrznych, uznania tylko w głębi duszy własnej. Jednak niedługo. Nagle bowiem odkrywa wielkie dobro, wynikające z życia socjalnego, potęgę gromady i organizacji, widzi się kółkiem niezbędnym w wielkim mechanizmie świata.

I wtedy Rufin poczuwa się w jestestwie swoim, jako człowiek czynu i

energii, jako jeden z budowniczych narodu. Oto jest tym, który bezwzględnie depcząc wszystko na swej drodze (ma na myśli dwie w życiu uwiedzione modystki) z egoizmem natur silnych doszedł do celu, nawet przez małżeństwo swoje zdobył tylko środki do urzeczywistnienia dawno powziętych zamierzeń. Dał pracę setkom ludzi, zorganizował całą gałąź przemysłu, w rękach swych przesunął nici kierownicze, zdobył władzę, której pragnął.

I znów — o jakiejś godzinie wieczornej, — znudzony pracą swą, odpowiedzialną i owocną, Rufin jest w oczach

swoich naturą prostą, niewyrachowaną i miękką; pośród zbytku i powodzenia, pośród rodziny i przyjaciół czuje się do głębi samotny. Żałuje, że nie poślubił ubogiej panienki, którą kochał był czasu górnej i chmurnej młodości i która jego kochała. I gdy ludzie myślą, że nic mu nie brakuje, on, Rufin, na całym niezmiernym świecie nie ma duszy bratniej, której mógłby zwierzyć swój smutek.

W takiej oto ciągłej sam ze sobą rozterce przepędza Rufin godziny wolne od pracy i rozrywek. Najtrudniej bowiem jest poznać samego siebie.

Z. Rygier-Nalkowska.

Werner v. Heidenstam.

Przekład St. Miłaszewskiego.

W SERAJU.

NOWELA.

Eunuch dłoń mu położył na ramieniu.

— Sztukę srebra otrzymasz, stary, jeśli wywróżyś przyszłość tej oto niewolnicy. Strwożony jestem, jak nigdy, czyli przyjmą ją tutaj chętnem sercem... Podnieś oczy, niewiasto! Weź do rąk łaskę moją i nakreśl linię na piasku. Człowiek, przed którym stoisz, wróżyć ci będzie!

Niewolnica spełniła rozkaz, a Nieuznany Mesjasz, zgity wpół, wymamrotał:

— Linia zupełnie prosta... Przeciwna ścieżkę wpoprzek i, zda się, dąży w stronę zagonów kwiatnych, gdzie gad przyziemny pełza pod krzewami róż... Linia zupełnie prosta, powtarzam... Żadnych skrętów, żadnych załamania... Zachowajcie, panie, wasz pieniądz. Z linii tak prostej nie mogę nic zmiarkować. Nie będę wróżył tej niewieście.

— Masz więc zapłatę, stary oszuście! — zawołał z gniewem eunuch, wymierzając raz tęgi w plecy Nieuznanego Mesjasza. — Należą ci się cięgi nie od dziś... Ogłaszałeś się przecież za proroka bożego, bestie dzikie na wodzach z siedmiu wężowych głów obiecywałeś dzierżyć, pamiętasz?

Obity Mesjasz stanął na jednej nodze, jak żóraw, drugą zaś tarł się w podkolanek. Po chwili odskoczył wstecz, wykrzywił twarz zawiędlą i syknął nienawistnie, wznosząc rękę do góry:

— Przez ciebie, nieznajoma kobieto, spadają na mnie obelgi i plagi... Bądź przekłeta! Bodaj cię pochłoneły węże i skorpiony! Słysz przepowiednię moją!

Minąwszy główną bramę seraju i strażnika o twarzy wyniosłej, eunuch zapukał do drzwiczek, ukrytych w gąszczu dzikiego wina.

— Dziecię moje — przestrzegł niewolnicę, — starzec, który nam furte otworzy, nosi miano Nieuznanego Mesjasza. Wcześniej, czy później powinnaś się dowiedzieć, że niebezpieczny z niego człowiek. Za młodu nazywał się, jak słyhać, Sabat-hai, a przemieszczał w Smyrnie, wśród Żydów. Za owych czasów głosił o sobie, iż jest drugim Mesjaszem. Sułtan atoli rozkazał łucznikom, aby strzałami zbadali, czy nowy prorok jest nietykalny zaiste. Strwożony cudotwórca wyprysnął się czempredziej wszystkich swoich nauk... W nagrodę dano mu godność klucznika seraju.

Szczęknął klucz w zamku. Staruszek drobnego wzrostu, przepasany na biodrach lachmanem brunatnym, z ostrożnościami rozwarł furte.

Z klątwą na ustach zatrzasnął furtę i odszedł precz, pozostawiając ślady stóp bosych na piasku.

Eunuch tymczasem wiódł niewolnicę za ramię po stromych schodach z kamienia na taras niedostępny i wyniosły, jak twierdza. Aleje pośród krzewów rozkosznych i drzew wysypane tam były muszlami, które pod stopą ludzką wydawały chrzest. Przewodnik iął dziewczynę upominać półgłosem, aby stąpała cicho, zwolna i lekko. Wśród cyprysów wisały tu i owdzie klatki pozłacane z ptactwem różnobarwnem i śpiewnem. Na trawnikach szmerły fontanny z paroskiego marmuru. Po przez aleję mirtów, szeleszczących na wietrze, udał się przybysze na skraj skalnego cypla, zwieszonego nad morzem.

W cieniu jaworów na polanie wznosił się tam kiosk biały, pokryty stromym dachem. Na szczycie błyszczał półksiężyc i gwiazdy. Przed progiem na dywanie siedziały dwie piastunki, gawędząc i zabawiając małe dzieci. We drzwiach rozwartych spoczywała na poduszkach siwowłosa kobieta. Nogi okryła futrem sobolem, w rękach trzymała grzechotkę szczerozłotą. Była to sławna wśród muzułmanów i gjaurów „Pszczółka Paków Różanych“, matka sułtana, nadobna niegdyś Greczynka z Retimo, której usta, od rosy porannej wonniejsze, Mahometa IV-go do szaleństwa przywiodły.

Lata nie starły w sułtance zgrzybiałej wspomnienia owych godzin okropnych, kiedy na wszystkich dziedzińcach pałacu pochodnie zbuntowanych janczarów płonęły, a mąż jej, z tronu złożony, uchodził spiesznie do komnat wewnętrznych, aby się przysposobić wśród modłów na więzienie, kaźń i śmierć. Jak żywe, miała w pamięci lata spędzone w ponurym Eskiseraju, przytulku siedziwych odalisek, gdzie nocami kroczyła bezsenna po kobiercach, bezradnie łamiąc ręce... Syn rywalki stał wówczas u szczytu potęg i w kole mułłów i ulemów publicznie wstręt oświadczał do pałaców poprzednika. Lecz wspominała również o dniu radosnym, w którym syn jej łona, wyzwolony z więzienia, stanął przed szeregiem janczarów, wznoszących okrzyki ku czci jego. I znów otwierały się na oścież „Podwoje szczęśliwości“. Scepter wszechwładzy ujęła wtedy ręką tą mocną i pewną, jako tę oto złotą grzechotkę wnuka... Z wiekiem lice pożółkło, zaostrzyły się rysy, a jednak uśmiech sułtanki zachował mimo wszystko ślad niewieściego powabu.

Eunuch bił czołem o kobierce. Skinieniem rozkazała mu wstać. Wówczas przemówił:

— Dżament wody najczystszej znalazło niegdyś pacholę niedorośle w kurzwawie Karawanseraju. Nikt z żyjących, o władczyni! nie zdolny był odgadnąć, jako się to stało... Atoli pewien ulem pobożny i uczony objawił, że przed mnogimi laty w miejscach onych zginęła korona cesarska, podczas tryumfalnego święta imperatora Justyniana. I ty, o władczyni! w mądrości swojej przyznać raczysz, iż sługa nędzny odnalazł klejnot książęcego blasku na śmieciisku w dzielnicy Egrikaputore. Nie przeczuwał on nawet istotnej wartości kamienia i nabył za cenę trzech łyżek srebrnych dżament, który zabłądził w pióropuszu na turbanie syna twojego. Kosztowności wszelakie leżą na rumowiskach śródmiejskich; nieraz depczemy po nich bezwiednie, atoli poszukiwacze skarbów, tropiąc po mylnym śladzie, najczęściej tylko kości spróchniałe i gruz znajdują w rozkopanej ziemi. Podobnie bywa z twoim sługą, przy zakupie niewolnic... Przez rok cały trapił mnie lęk, czy zdołam według zlecenia twego gdziekolwiek znaleźć jasnowłosą brankę... Na ustach czułem smak popiołu, pijąc wodę źródłaną... Puszyste kobierce zdawały mi się po nocach twardsze, niż schody kamienne na zamku Siedmiu Wież... Straciłem sen i spokój w nieustannej trosce, aby najrychlej życzenie twoje spełnić... Dopiero dnia dzisiejszego, gdy na mogile twego małżonka szukałem ukojenia, niespodziewanie zesłał mi Bóg miłościwy niewolnicę, jakiej żądać raczyłaś.

Precz odrzuciwszy welon z lichej tkaniny, odsłonił twarz kobiety o jasnym spojrzeniu i bujnym, płowym warkoczem.

Sułtanka, kładąc grzechotkę na kolanach, odpowiedziała z uśmiechem:

— Kiedyś, w czasie Rāmadanu, roił mój syn we śnie o wysmukłej dziewczynie złotowłosej, przytulonej do mego łona. Niewolnicy podobnej niema w seraju, więc zaciekał mnie ten sen... Lecz nie wiem sama, do czego użyję tej oto nowej służebnej... za ciężka jest, jak na tancerkę... U boku syna mego pełnić służby nie może... On drobne stopy i ręce uwielbia nad wszystko.

— Zaprawdę — odparł eunuch, ujrzawszy, że nabytek nie przypada sułtance do smaku, — zgola nie wyliczyłem jeszcze, ile wieści przedziwnych krąży o tej niewieście. Ja sam z trudnością dałbym wiarę, ale han-

dlarz niewolnic na proroka brodę i duszę poprzysiągł, że niema w tem zmyślenia. Z kupca człek wiarogodny, pobożny, znam go nie od dzisiaj... Nigdy w życiu nie oszukał mnie ani na wieku, ani na pochodzeniu niewolnic... Zresztą sama niewiasta zadałaby mu kłam, bowiem zna trochę mowę naszą. A teraz wysłuchaj mnie, władczyni, i sama wyrokuj, zali nie klejnot istny w twoje ręce złożyłem... Z jakimże uniesieniem wspominałaś zawsze o twoim Lwie Północy, wielkim monarsze Szwedów! Wiedz, z jego narodu pochodzi ta niewiasta uboga, zrodzona w kraju, gdzie niewiele zieleni, a jeszcze mniej róż kwitnie, gdzie nawet latem śnieg ziemię zalega.

Sułtanka z ożywieniem zerwała się na równe nogi... Złota grzechotka poszła w ką. Niepomnąc na etykietę, władczyni poczęła oglądać niewolnicę od stóp do głowy. Podnosiła do góry i opuszczała w dół jej ręce; końcami palców rozchyliła wargi, badając zęby dziewczyny; muskała ją po piersiach, gładziła po włosach.

— Wszystko za wielkie w tej kobiecie! Nawet usta, nawet podbródek... Pokaż mi nogi, dziewczyno!

Niewolnica, znać zdjęta nagle odrazą, niezgrabnie cofnęła się wstecz i mruknęła przez zęby:

— Głupstwa jakieś!

— Prostudusznia, ale szczerza jak złoto! — zaświadczył eunuch z pośpiechem. — Zauważyłem to odrazu, kupiec zaś i pod tym względem nie utrzymywał mnie w błędzie, sam mi bowiem oświadczył, że zowie ją po prostu „Głupią Szwedką“.

— Niechże nosi to imię, dopóki nie zasłuży na inne... A teraz, dziecię, pokaż mi nogę nareszcie!

Głupia Szwedka, zgorszona niesłychanie, obciągała wstydliwie zgrzebną swoją koszulę.

— Jezu kochany, nie dadzą człowiekowi nawet ustać spokojnie.

— Co ona mówi?

— Nie wiem, o władczyni... Jednak... Można ją będzie użyć do prania welonów...

— Nie, raczej niech się zajmuje papugami... Niektórych klatek żadna z moich służebnic podźwignąć nie może. Teraz dozór nad ptactwem ma „Światłość Gwiazdy Zarannej“, lecz to dziewczyna wiotka i ładna, nie stworzona do grubej roboty. — Doczeka się zapewne zaszczytnego losu... Zalecisz jej, ażeby zaraz pouczyła przybyłą o nowych obowiązkach.

Sułtance, po zaspokojeniu ciekawości, dłużyc zaczęła się rozmowa...

Skinęła zatem na piastunki, aby przyprowadziły dziecko, i zniknęła za drzwiami.

Codziennie od tej pory „Światłość Gwiazdy Zarannej“ pokazywała nowej niewolnicy, jak trzeba się obchodzić z papugami. Na krótko przed zachodem słońca, zazwyczaj siadywały obiedwie w ogrodzie tuż obok klatek, na jednym miejscu zgromadzonych. „Światłość Gwiazdy Zarannej“, trzynastoletnia Czerkieska, najmłodsza z pośród służebnic sułtańskich, do Głupiej Szwedki przylgnęła całym sercem.

Najstarszą i najznakomitszą papugę trzeba było na pół dnia wynosić z rozkazu sułtanka nad morze. Rzeźwiący powiew słonawy miał wzmacniać schorzonego ptaka. Dorożczynie zasiadły na ławce kamiennej, nieopodal klatki. „Światłość Gwiazdy Zarannej“ objęciem gibkich ramion przygarbowała do siebie rozrosłe barki przyjaciółki i szczebiotać poczęła o wszystkim, co się dzieje na szerokim świecie. Aż wreszcie dopomniła się z przymileniem:

— Opowiedz mi coś o sobie! I ja, wierzaj, nie będę miała tajemnic przed tobą!

— Nie wiele mam do opowiadania. Jako mała dziewczyna w służbie u żony majora Eneberga przeniosłam się z jednego miasta, zwanego Nyköping, do innego, Rygą zwanego. Tam zaślubiłam dzielnego żołnierza, zwanego Anderson. W bojażni bożej żyliśmy skromnie i uczciwie, póki nie spadły na miasto klęski oblężenia i pomoru. Anderson chciał kilka kobiet ukradkiem wyprowadzić z Rygi... Mnie się nie poszczęściło: wpadłam w ręce rosyjskie... Żołnierze nałożyli mi pęta, wrzucili na wóz i sprzedali tureckim przekupniom.

— Mów, mów jeszcze! Czy nie znasz czasem baśni czarownic o Duchu Tańca? Czy jest na świecie rzecz rozkoszniejsza, niż taniec!

Z oczyma przymkniętymi powstała z ławy „Światłość Gwiazdy Zarannej“ i w mgnieniu oka była przeginać się rytmicznie. Welon zataczał nad głową taneczniczy krąg białoniebieskie, do ognia bengalskiego podobne.

— Wiesz, przepowiedział mi Mesjasz Nieuznany, że będę miała dwieście szalów jedwabnych i kiosk, wybity czerwonym adamaszkiem. Wierzę mocno, że to proroctwo się ziści, bo przecież kiedyś zatańczę wobec padyszacha. Wiesz, ty, sypiać po nocach nie mogę, tylko wciąż myślę i myślę... Może już jutro, może po-

jutrze stanę przed padyszachem... Dotychczas nie widywał mnie nigdy... A ty o czymże lubisz rozmyślać? Według mnie, co na sercu, to na myśli! Nic cię nie nęci, powiadasz? Czyżby za wszystkie rozkosze mogły ci starczyć nudne i żmudne ceregiele z papugą? Jak żyję, nie słyszałam, aby to kogokolwiek zadowolnić mogło... Ja uważam za ciężką karę doglądanie tych głupich djabłat pierzastych! Dziwna z ciebie istota, siostró... Nikt nie jest w stanie pojąć upodobań twoich!

Dalszy ciąg nastąpi.



Nauka i uczony.

Może się to wydać dość dziwnym, że w Warszawie obecnie istnieje bardzo intensywny ruch naukowy. Uczeń polscy nie zważają na wszystkie dolegliwości chwili i ciągną wytrwale taczkę naszego życia na coraz wyższy poziom zainteresowań umysłowych. Dostatek jest spojrzeć na ilość odczytów, przejrzeć publikacje z dziedziny prawa, historii, państwowości — a nawet odcyfrować świeżo zjawiające się kwartalniki „Przeglądu Filozoficznego“, „Chemika“, „Prawa Cywilnego i Handlowego“, by ze spokojem i otuchą zacząć myśleć o przyszłości. Praca naukowa w Warszawie wre, nie ustępuje z pola innym zainteresowaniom.

Świadczy to wybitnie o żywotności naszej narodowej. Co więcej wskazuje, jak płodnym i życiowoczo niewyczerpanym jest duch polskości. Bo jednak tylko w takiej atmosferze pracy i myślenia o przyszłości mogła powstać książka prof. J. Tura p. t. „Nauka i uczony“. Chodzi tu o wskazanie drogi do prawdziwej nauki młodym adeptom i kapłanom tej gałęzi ludzkiej działalności.

Prof. J. Tur wyznaje wzniosłą zasadę nauki dla nauki, poznania dla poznania. Wskazuje, że dotychczas w Warszawie w popularyzatorze widziano uczzonego. Wyjaśnia, jakimi drogami należy dążyć do nabycia metod pracy naukowej. I twierdzi stanowczo, że dla uczzonego polskiego wszechznawcy polska powinna być pierwszym źródłem wiedzy i poznania.

Prof. J. Tur jest zwolennikiem łaciny. Interesujące też są uwagi autora o „typach psychologicznych pracowników naukowych“. Uważa on, że Oswaldowska klasyfikacja na typy klasyczne i romantyczne jest niewystarczająca. Należało

tylko wziąć pod uwagę polski charakter, nasz specyficzny rodzaj umiejętności pracowania i powiązać go z tymi uwagami. Życie prywatne uczzonego prof. Tur wyobraża sobie też, jak swojego rodzaju kapłaństwo, prawosławie, pracowitość... Zapewne, że nie z wszystkimi wywodami zgodzić się można. W materii tej uczeni na swoim terenie powinni rozwinąć twórczą dyskusję. Wynik tej wprawdzie nie zmieni rytmu garnięcia się do wiedzy ani też nie ostudzi zapału w pracownikach innego pokroju psychicznego, ale bezwzględnie przyczyni się do podniesienia poziomu zainteresowań wśród ludzi, których zaciekał typ współczesnego Polaka-pracownika...

Książka prof. Tura może być doskonałym i umoralniającym poradnikiem dla młodych uczonych. Pełna jest wiary i optymizmu, co zawsze dodatnio wpływa na młode dusze, chwiejne w swoich marzeniach i niezdeterminowane w swoich przedsięwzięciach. Studiuj też zbytnią pochopność młodej arogancji, której się wydaje, iż wszystkie rozumy posiada. I powołuj się na wzniosłe słowa Jędrzeja Śniadeckiego:

„Poświęcając się Naukom, poświęciłem się prawdzie...“

Książka prof. Tura powinna się stać miłym „Vademeum“ dla głębiej myślącej młodzieży akademickiej.

Zygzaki.

Doktor Tadeusz A. Mischke napisał tom „Zygzaków“, w których porusza zarzysowo najważniejsze zagadnienia i stousunki. Na okładce zamieścił przytem taką uwagę: „czytając myślcie najmniej o autorze, więcej o sobie, a najwięcej o bliźnich i potomnych“. Czem jednak są te „Zygzaki“? Zbiorem różnych publicystycznych myśli, które zapewne ze względu na mętną formę nie zyskały obywatelstwa na łamach jakiegoś pisma. Czy są w nich obserwacje oryginalne? Czy znaleźć można choć intensywność zwiększoną w podkreśleniu jakichś zasadniczych myśli budujących? Nie. Z tego to względu „Zygzaki“ dr. Mischke mają tylko wartość indywidualną. Ciekawe tylko, że dr. Mischke lubi ogromnie ton metafizycznego kaznodziejstwa. Rozumowania opiera na dialektyce słów, które się już tak utarły, że tylko czas mówi przez nie, jak przez zwietrzałe prochy skalne. Na próbę wyjmuję tego rodzaju ustęp. „Jeżeli absolut zginąć nie może, to i jaźn zginąć nie może, która jest jego twórczynią i jego tworem zarazem. Zdaje mi się (!), że już nieraz przypuszczano (!), jakoby nawet świat zewnętrzny, stwierdzalny zmysłami, właśnie w tej chwili powstawał, kiedy go poznajemy, a raczej posługujemy. W ten sposób bylibyśmy stwórcami świata, czasu i przestrzeni“. (Str. 35). Rozumowanie to nie wymaga komentarzy i od razu pokazuje, jakiego rodzaju utworem są „Zygzaki“ dr. T. A. Mischke'go.

